

przedstawienia



Co za pejzaż!

Jarosław Zalesiński

Teatr Wybrzeże w Gdańsku
(Scena Kameralna)
„All inclusive”
Marka Modzelewskiego
reż. i dekoracje
Ewelina Pietrowiak
kost. Katarzyna Zawistowska
premiera 8 czerwca 2007

„All inclusive” Marka Modzelewskiego poczęło się z podglądania. Autor w czasie turystycznych wояży napatrzył się na rodaków, którzy dołączyli do międzynarodówki kurortowiczów nudzących się latem w modnych turystycznych miejscowościach. Costa Brava, Kreta, Sycylia, Tunezja, Egipt? – Tak, te klimaty. Urodził się tekst, w którym jest parę ciekawych socjologicznych obserwacji. Ale dobrej sztuki z tego wykroić się nie dało.

„All inclusive” opowiada o iluzji sukcesu, jakiej uległa czwórka bohaterów. Na pozór niczego im w życiu nie brakuje. Mają pod czterdziestkę, są nieźle w życiu

ustawieni: Rafał jest nawet wziętym aktorem, Ada robi wywiady dla kolorowych pism; nie za bogaci, ale i nie za biedni, bo korzystają z wyjazdu w ofercie „all inclusive”. Słowem, polska *middle class* pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Czego im do szczęścia jeszcze brakuje? Bagatela: duszy.

A z tym jest problem. Mizeria duchowego wnętrza tych ludzi odsłania się przed nami scena po scenie w trakcie ich wakacyjnego wyjazdu. Co za pejzaż! Z bogoojczyźnianej tradycji zostały im w głowach tylko jakieś strzępki zdań z „Pod Twoją obronę”. Poza tym mają jeszcze parę wy-

świechtanych powiedzonek, szkolny angielski z pospiesznych kursów, wiedzę, która nie pozwala im odróżnić czternasto i szesnastowiecznej architektury oraz – *last but not least* – pokręcone, nieudane związki i wynikające z tego poczucie niespełnienia, z którym bezskutecznie próbują sobie poradzić dzięki kolejnym podrywom.

Jak ze sztuki o nieciekawych ludziach zrobić ciekawe przedstawienie? Ewelina Pietrowiak, reżyser i autor dekoracji, słusznie

1 | Od lewej: Mirosław Baka (Rafał), Joanna Kreft-Baka (Ada), Grzegorz Falkowski (Marek), Monika Chomiczka (Ola); fot. Tomasz Kamiński

Piaf

Andrzej Łapicki

Rzadko chodzę do kina. Przeważnie, kiedy córka mnie zaciągnie. Tym razem jej się udało. Ale i mnie. Edith Piaf to moje najpiękniejsze wspomnienie z Paryża sprzed pięćdziesięciu laty (1956, czerwiec!). Poszliśmy z Kaziem Rudzkim do Olympii na jej recital. W pierwszej części był magik, który ściągnął mi z ręki zegarek, nie wiedziałem, kiedy; jakiś debiutujący piosenkarz. Druga część to ONA. Fenomenalna. Maleńka. Chucherko. Chudzinka w czarnej sukience. Sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu – Piaf – wróbelek o niezwykle głośnym i niewyobrażalnej sile wyrazu. To, co teraz nazywa się piosenką, jest jakimś aktem, czasem erotycznym, przeważnie niewiadomej płci. Bez melodii, tylko z rytmem. Afryka. Jej piosenki to były minidramaty wspaniale zagrane, o pięknych melodiach. Była wielką aktorką. A uczył ją, jak wynika z filmu, pan Raymond Asso – drugoplanowy aktor. Cóż z tego. Dzieło jego życia to Ona. Poznałem go w 1952 roku, kiedy przyjechał do Warszawy z antyamerykańską sztuką Vaillanda „Pulkownik Foster przyznaje się do winy”. O Korei. Niewątpliwie był to teatr komunistyczny, chociaż, o ile pamiętam, Armia Czerwona nie okupowała Paryża. To, że ktoś drugorzędny

tworzy wielką artystkę, to się zdarza. U nas wielką Lenę Eichlerównę stworzył podobno prowincjonalny reżyser Ryszard Wasilewski. Ciekawe. I jeszcze jedno o tym dziwnym zawodzie. Piaf była prostytutką, narkomanką, pijaczką i to od dziecka. Tak, to nie jest zajęcie dla grzecznych dziewczynek i chłopców.

Byłem pięć lat później w Paryżu. Piaf znowu występowała. Była już chora. Po operacji. Już brałem w kasie bilet, kiedy sobie pomyślałem: „Przecież ona jest lepsza w mojej pamięci – po co to psuć!”. I nie poszedłem.

Kiedy de Gaulle oddawał Algierię Arabom, zbuntowały się miejscowe garnizony. Aresztowani oficerowie byli wywożeni do więzienia autobusami, w otoczeniu czołgów. I nagle rozległ się śpiew. Wszyscy śpiewali największy, przepiękny przebój Piaf: „Non! Rien de rien / Non! Je ne regrette rien...”, co znaczy: „nic, nic a nic, nie, nie żałuję niczego...”. Czy możemy sobie wyobrazić naszych legionistów w takich okolicznościach? Którzy zamiast Pierwszej Brygady śpiewają „Miłość ci wszystko wybaczy...”? ■

nie nazywanej scenografią, nie znalazła na to pytanie żadnej odpowiedzi. Jako scenograf, tfu, dekorator, umieściła w tle dwa prostokąty, przed nimi zbudowała proste tarasy, na jeden wysypała kamyki, gdzie indziej nasadziła sztuczną roślinność. Proste to, bezpretensjonalne, nic nie mówiące, nijakie. Jako reżyser starała się poprowadzić przedstawienie komediowym torem. Dialogi Modzelewski pisze niekiedy zabawne, to prawda, ale druga prawda taka, że jego poczucie humoru bywa bardzo niewybredne. Owszem, dowcipy mogą dodać rumieńców tej czy innej scenie, ale nie mogą napędzać całego przedstawienia, które tak naprawdę

komedią nie jest. To raczej tragicomedia, w której bohaterowie przekonują się, kim są naprawdę, oraz – że innej prawdy nie będzie. Kiedy siedzą przed nami w rzędki i sennie monologują, oczekując na spóźniony samolot, który ma ich zabrać z nieudanych wakacji, wiemy już, że za rok ich wczasy będą wyglądały tak samo. „All inclusive”, wszystko w cenie biletu, również bohater we własnej osobie. A z samego siebie – niestety – „wyjechać” się nie da.

Tej niewesołej refleksji reżyser nie wydobyła jednak z komediowego przebrania, przez co rzecz robi się jednowymiarowa. Nie dziwię się aktorom, że grają

bez wiary w sens płasko skrojonych postaci. Miarą bezradności w tworzeniu jakiegoś napięcia na scenie były dla mnie stroboskopowe światła, które Pietrowiak zapala, gdy między bohaterami zawiązuje się coś w rodzaju dramatu. Światła pulsują jak w wiejskiej dyskotecie, a damsko-męski kwartet inscenizuje taniec pogo na scenie. I od tego ma się zrobić dramatycznie?

Na tej samej sopockiej Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże, na której wystawiono „All inclusive”, bodaj w 1993 roku swoją teatralną premierę miała „Farsa z ograniczoną odpowiedzialnością” Władysława Zawistowskiego, satyryczny portrecik

ówczesnych nowobogackich. Ech, piękne to były, pionierskie czasy – biznesmenów w białych skarpetkach, kradnących pierwszy milion, postpartyjnych dygnitarzy, moszczących się w nowej rzeczywistości, i spółek z nazwami zakończonymi na „-ex”. Po kilkunastu latach polska klasa średnia ustatkowała się, obrośla piórkami, wydała własnych *celebrities*. Ale pod tym lakierem, kiedy go zeszkrobać, odsłania się bezbarwna, banalna powłoka. Tylko trzeba umieć o tym barwnie i niebanalnie opowiedzieć. ■

Jarosław Zalesiński – dziennikarz, poeta; publikuje w „Dzienniku Bałtyckim”. Mieszka w Sopocie.